NASZ PRZYJACIEL

Dodatek do „Głosu Wąbrzeskiego"

Nr. 41. | Wąbrzeźno, dnia 8 października 1927. | Rok 4

Ewangelja

św. Mateusza rozdz. 9, wiersz 1—8.

W on czas wstąpiwszy Jezus na łódź, przewiózł się, i przyszedł do miasta Swego. A oto przynieśli Mu powietrzem ruszonego, na łożu leżącego. A widząc Jezus wiarę ich, rzekł powietrzem ruszonemu: Ufaj synu, odpuszczają się grzechy twoje. A oto niektórzy z piśmiennych mówili sami w sobie: Ten bluźni. A widząc Jezus myśli ich, rzekł: Czemu myślicie złe rzeczy w sercach waszych? Cóż jest łacniej, rzec: odpuszczone są tobie grzechy twoje; czyli rzec: wstań a chodź? Lecz abyście wiedzieli, że Syn człowieczy ma moc na ziemi odpuszczać grzechy, tedy rzekł powietrzem ruszonemu: wstań, weźmij łoże twoje, a idź do domu twego. I wstawszy, poszedł do domu swego. A widząc te rzesze, bały się, i chwaliły Boga, który dał takową moc ludziom.

✤ ✤

Kardynał Ledóchowski, Bismarck i Kulturkampf.

(Według Georges Goyau)

(Ciąg dalszy)

Napoleon zażądał znów, by stawił się przed nim w całej świetności kardynalskiego stroju.

Olśniewał go ten kościelny blask i zadawalał jego fantazję. Podobnie i Bismark w Wersalu, u progu wielkich swych zdobyczy, cieszył się niejako odwiedzinami arcybiskupa, które mu chlebiały. Myślał, że będzie mógł wobec grożącego niebezpieczeństwa interwencji mocarstw neutralnych na rzecz Francji, użyć Papieża do zawarcia rychłego pokoju. Bawiła go też hypotetyczna możliwość powitania Ojca św. w któremś z niemiemieckich miast. „Mielibyśmy Polaków za sobą wówczas" powiadał, co jasne wskazuje, jak ciągle myśl o Polsce i Polakach zaprzątała jego umysł. Miała ona niebawem gwałtownie wybuchnąć. Na starość, Bismark usuniety do prywatnego życia przez niełaskę drugiego Wilhelma będzie mówił i pisał, że Kulturkampf, w którym przegrał, był „li tylko jakiemś głupiem nieporozumieniem, spowodowanem przez Polaków poznańskich" i utyskiwać też będzie, że posłużył on tylko do obudzenia narodowego żywiołu polskiego na Śląsku.

Wersalska podróż Ledóchowskiego chybiła celu. Tem nie mniej notujemy ją tutaj i jako ciekawy epizod stosunków przyszłego kardynała z kanclerzem i jako fakt znamienny sam w sobie. Ongiś w XV w., kanonik krakowski, słynny Mikołaj Lasocki, jako biegły dyplomata odegrał wybitną rolę w kongresie kambrezyjskim, zwołanym celem zlikwidowania stuletniej wojny między Francją i Anglją. Tutaj zaś, polski Książę Kościoła, arcybiskup gnieźnieński i poznański usiłował kres zarazem położyć i wojnie francusko-pruskiej i użyć doli Papieża. Polska występowała, tak czy inaczej, jako tradycyjny czynnik pokoju.

Tymczasem ledwo powstało cesarstwo niemieckie, a już występowały zwiastuny przyszłej walki z Rzymem.

Katolicki poeta niemiecki, Weber, wołał już w 1869 r. „Chybaśmy już przestali być ludem chrześcijańskim!" Narodowo-liberalni całą siłą gotowali się do walki nietylko z Rzymem, ale z wszelkiem wierzeniem religijnem. Goyau zapisuje uwagi Ledóchowskiego: „Co do mnie pisał on w r. 1870 — jestem przekonany, że rząd (pruski) postara się o uśmierzenie nadciągającej burzy, lecz, czy mu się to uda — to całkiem inna sprawa. Gdy trzeba będzie, będziemy się bronić. Ale, niestety, nawet obrona w takich wypadkach zwykle zła nie tamuje". I znów pojawia się ufność arcybiskupa i pokojowa nuta jego nastrojów.

Sytuacja była nadzwyczaj skomplikowana. W Rzymie osławiony Arnim stawał się coraz bardziej obrażającym dla Papieża. W Niemczech, wobec centralistycznych zapędów Bismarka, katolicy południowi żądali zarazem zachowania swych autonomij i gwarancji dla Kościoła w Cesarstwie. Napróżno Bismarck podczas wojny chciał uzyskać od Papieża wywarcie wpływu na klerze francuskim na rzecz Prus. Obecnie zabiegał o podobne uśmierzenie z wyżyn Watykanu bawarskich odruchów, ale i to zawodziło. W Berlinie powstało Centrum katolickie, które jako niesprzedajne, i niezawisłe stronnictwo, w dodatku nowe i złożone przeważnie z autonomistów,

było Bismarckowi wstrętne. Bismarck starał się, by Pius IX wystąpił przeciw Centrum, lecz i tym razem Papież zrobić tego nie chciał. Wobec tego Bismarck uznał za zbyteczne wszelkie ugrzecznienia względem Watykanu i nawet wycofał swego przedstawiciela przy Papieżu.

Przy takich prolegomenach zaczynał się szybko kulturkampf. Pchali deń narodowo-liberalni w imię „wiedzy niemieckiej, niemieckiej prawdy, niemieckiego państwa i niemieckiego postępu". Garibaldi'ce tak niedawno walczył przeciw Prusom we Francji, winszował im gromko tego „wielkopomnego entuzjazmu".

Tymczasem episkopat w Niemczech zjednoczonych i organizacje domagały się rozciągnięcia na całość cesarstwa gwarancji pełnej swobody kościelnej, jaką zawierała pierwotnie konstytucja pruska. W tym sensie pisał i Ledóchowski. Sprawy kościelne schodziły do urn wyborców. Pod ich hasłem niejeden okręg na Śląsku, który z dawien dawna zdawał się pod względem wyborów należeć bezsprzecznie do kilku arystokratów katolickich, skoligaconych z dworem berlińskim, przechodził niespodzianie do obozu Centrum. Wszystko to wielce podobało się Bismarkowi. Centrum zyskiwało odrazu 57 członków i to w Prusiech. Prawda, że w tych Prusiech łączyło się wszystko, co nie było pruskiego, w obronie Kościoła. Ledóchowski tymczasem, Kawalerowie Maltańscy, francuski kardynał Bonnechose zapytywali się, czy Niemcy nie uczynią czegoś dla Papieża. Bismark czuł się wielce nieswój wobec niezapewnionej większości parlamentarnej i tak rozbieżnych interesów obywateli nowego cesarstwa.

W r. 1871 jeden z posłów polskich zażądał w Reichstagu, by Poznańskie i ziemie polskie były uważane jako obce wobec cesarstwa. Bismark się rozgniewał: „Mnie za sobą nie macie — zwrócił się do Polaków — jeno wasze urojenia i puste iluzje, mylicie się, gdy się wam zdaje, że lud polski wybrał was jako przedstawicieli narodu polskiego. Zostaliście wybrani jedynie dla opatrzenia interesów Kościoła katolickiego, strzeżcie ich więc, a spełnicie wasz mandat". W ten sposób odsyłał Polaków do spraw kościelnych, ale w istocie swój zły humor wyładował na katolików. Niezadługo powie im, że każdy z nich to sprzymierzeniec obcych i wrogów.

Bismark przystępował do naruszenia pokoju religijnego po sprzymierzeniu się z narodowo liberalnemi i aczkolwiek bez żadnej wiary w ich pomoc, ze staro-katolikami. Pierwszą ofiarą jego wycieczek miała paść „dywizja, czyli sekcja katolicka" w ministerstwie wyznań. W lipcu 1871 r. Bismark uznał że „sekcja katolicka", złożona z katolików, której obecność wszelkie konflikty umiała złagodzić, wciela „polskie niebezpieczeństwo", wpływy Radziwiłłów i polskiego duchowieństwa.

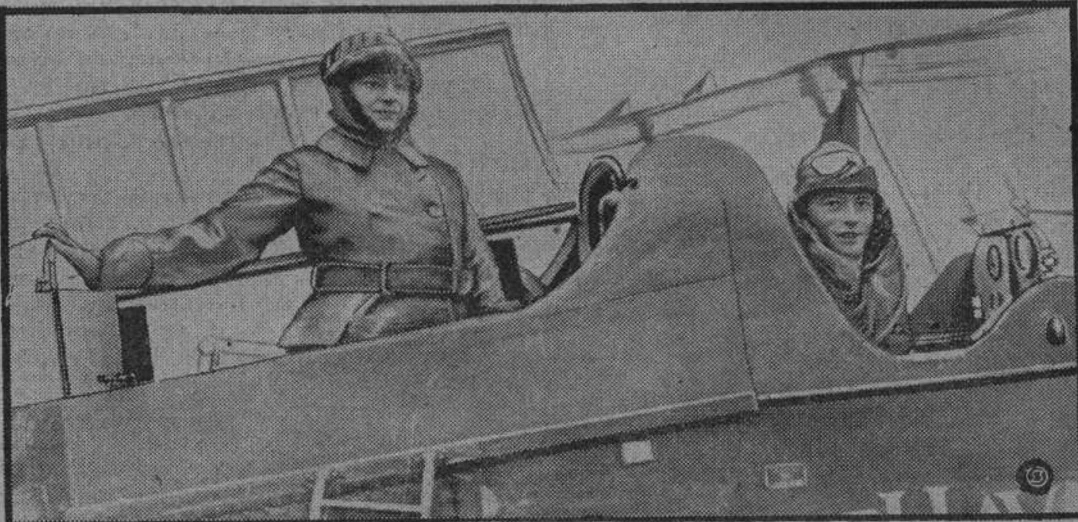
W ten sposób za każdym razem gdy burzy pokój religijny, Bismark zasłania się, powiada Goyau, patrjotycznym jakimś pretekstem. Raz jest to polonizm, to socjalizm, to Francja. Wszystko próbować bedzie, by wykazać, że katolicy to przyjaciele Polaków, a więc wrogowie Cesarstwa, lub też, że się trzymają socjalistów lub Francji.

Goyau dodaje „W jakim by czasie lub wieku obserwować Bismarcka, zawsze pozostaje u niego niezmienne uczucie, które zapełnia mu usta, a które zawsze wyraża się w słowach gwałtownych, prawie, że wprost szaleńczych, to uczucie — to jego nienawiść do Polski." Pojawiła się ona u niego już w 1848 r. W r. 1867 wyrywał się w parlamencie Niemiec Północnych przeciw kapłanom polskim i polskim matronom, które opowiadały chłopom, że jeśli tylko głosować będą za Niemcem, niebawem pojawi się u nich pastor, protestancki. Później, w r. 1885 lub 1886, w którym to czasie będzie chciał wyjawić swą zgodę z innymi katolikami cesarstwa, zawsze będzie wyzywał przeciw Polakom, którym nie będzie chciał „przebaczyć". „Nienawiść do Polski — mówi Goyau — popychała go po części na drogi Kulturkampfu. Będzie go ona później hamować i obezwładniać, gdy trzeba będzie zniweczyć pewne jego ustawy. Nienawiść to niezręczna i jałowa, która właśnie wytwarzała niebezpieczeństwo, przeciw któremu chciała walczyć. Autor przypomina tu, że Śląsk wracał do polskości w miarę, jak srożyły się bismarkowskie wybryki w Poznańskiem. Zaznaczyć wypada, że choć co do nich, niewinnie może, ale przez tajemnicze jakieś prawa sprawiedliwości i solidarności historycznej, katolicy niemieccy, a z nimi cała wewnętrzna polityka Prus i Niemiec, opłacili w Kulturkampfie fakt rozbiorów Polski.

Pierwsza utarczka Kulturkampfu wypadła na dawne ziemie Rzeczypospolitej: wojna wybuchła w diecezji Warmińskiej, gdzie biskup Krementy nie chciał dopuścić do wyłącznie katolickiego gimnazjum w Brunsberdze księdza „staro-katolickiego", t. j. odstępcę, jako nauczyciela religji. Brunsberdzkie gimnazjum to dawne kolegjum, założone przez polskiego kardynała Hozjusza. Dzieci przestały uczęszczać do szkoły, a rząd pruski przestał traktować Krementy'a jako biskupa. Potem kazał Bismark znieść t. zw. „departament katolicki" w ministerstwie wyznań. Zarzucał mu, że jest zbyt polski, że za poplecznictwem Radziwiłłów, rozwija szkolnictwo wyznaniowe polskie w Poznańskiem i na Śląsku pod pozorem zabezpieczenia wpływu duszpasterzy. Konserwatywny minister wyznań Mukler, po długiej opozycji, zmuszony został do zaprowadzenia nowej, świeckiej organizacji inspektorów szkolnych, którzy specjalnie na ziemiach polskich mieli się stać narzędziem prusyfikacji. Przytem kanclerz udawał wielkie przerażenie, że powstało wszechświatowe przymierze Watykanu z ogółem katolików, aby wydrzeć Prusom prowincje Pruso-polskie.

Jesteśmy przy końcu 1871 roku. Przyszedł nowy minister wyznań na skinienie Bismarcka, słynny ów Falk, którego imię miało się na zawsze związać z „majowemi prawami" Kulturkampfu. Falk powprowadzał żydowską naukę religji do gimnazjów poznańskich, aby tem łacniej dać do poznania, że myśli wszystko poddać inicjatywie państwa pruskiego. Przeciwko prawu o świeckim inspektoracie szkół katolicy i protestanci całych Prus słali petycję. Nie zważano na nie, szczególniej, gdy z polskich rąk pochodziły. Bismark zawsze gotów był wystawiać widmo niebezpieczeństwa polskiego, gdy ktoś chciał go w zapędach Kulturkampfu powstrzymać. Prawo o świeckiej inspekcji szkół zmierzało do zaprowadzenia wszędzie niemczyzny, przez wyparcie wpływu księży, specjalnie poznańskich. (C.d.n.)

Zaginiony samolot angielski.



Na obrazku naszym podajemy statekpowietrzny „St. Rafael" z pilotem kapitanem Hamiltonem oraz księżniczką Wertheim, liczącą lat 63. O lotnikach dotychczas nie ma wieści.

RZECZY CIEKAWE.

Jak giną zbrodniarze?

W Ameryce traci się przeważnie skazańców na fotelu elektrycznym.

Rewolucją francuska czyniła to za pomocą gilotyny.

W Niemczech skazańcom ucinają głowy w oficynie więziennej za pomocą topora.

W Wielkiej Brytanji sąd orzeka, w jaki sposób winien być wykonany wyrok śmierci, ale mocą odwiecznych tradycyj sposobem tym jest zawsze szubienica.

W Austrji wieszają zbrodniarzy.

W Belgji prawo określa wyraźnie, że winowajcy odcina się członek główny, czyli głowę, ale z wyjątkiem pewnych pomyłek sądownictwo nie stosuje już od r. 1863 tego karnego zabiegu.

W Danji prawodawstwo nakazuje uciąć zasądzonemu głowę siekierą.

W Hiszpanji skazańca zadławia się zapomocą obroży żelaznej zwanej „Garottą". Na początku tego wieku osobna ustawa skróciła z 24 na 18 godzin czas wyznaczony skazańcom do przygotowania się na śmierć, rozpoczynający się od chwili przeczytania im odmowy wstrzymania wyroku aż do egzekucji.

W Norwegji ludzi ścinają.

W Polsce przeważnie wyroki śmierci bywają wykonane przez rozstrzylanie, a obecnie stosuje się i przez szubienicę.

We Włoszech na skutek zamachów na Mussoliniego domagano się przywrócenia kary śmierci.

W Szwajcarji Federacja uchyliła karę śmierci, ale za zbrodnie osobliwie wstrętne, sądownictwo poszczególnych kantonów przewiduje karę główną.

W Portugalji karę śmierci zastąpiono dożywotnim więzieniem, ale wojenne izby karne, w wypadkach buntu, powstania i t. d. stosują rozstrzelanie.

WESOŁY KĄCIK

U szewca.

— Wiesz pan, potrzebuję lakierków, ale teraz nie mam pieniędzy...

— O! to głupstwo! to ja mogę zaczekać!

— Czy byś pan był tyle łaskaw!

— Ależ z przyjemnością zaczekam! Jak pan będzie miał pieniądze, to niech pan przyjdzie do mnie po lakierki.

W szpitalu dla warjatów.

Dyrektor szpitala dla obłąkanych pokazuje swemu przyjacielowi urządzenia. Podczas gdy obaj obchodzą wszystkie pawilony, przebiega naraz koło nich jakiś chory, wołający; zabiję swoją teściową, zabiję swoją teściową!!!

Usłyszawszy to, zwiedzający bierze dyrektora za ramię i i pyta:

— Słuchaj, dlaczego właściwie tego człowieka zamknięto w domu warjatów?

Logika.

— Nie powinniście pić tak dużo. To was zabije.

— Ależ przeciwnie, picie już uratowało mi życie.

— Jakto?

— A tak, kopałem kiedyś studnię. W tem pomyślałem sobie: dobrze byłoby się napić. I co pan powie? Ledwie wylazłem na wierzch, a studnia zawaliła się.

Pierwszy stopień.

— Słyszałem, że oddaliście Maciejowa syna do kowala?

— Ano, poszedł uczyć się rzemiosła.

— Czy już wali młotem?

— Jeszcze nie, początkowo majster dał mu robotę przy rwaniu zębów.

Niknące djamenty

6) POWIEŚĆ
przez
M. DONNELLA
(Przekład z angielskiego)

(Ciąg dalszy)

— W tym razie musiałyby mi być znane wszelkie szczegóły — mówił.

Bek opowiedział mu następnie wszystko co mu znane było w tej sprawie, nie zapominając także nadmienić o swym sobowtórze, który go wyprzedził na ulicy Belgrave.

— Cóż pan mówisz na to? — zakończył wreszcie.

— Pan Ophir — rzucił krótko Grabeau, zamykając następnie usta niby mysią łapkę.

— Co! — zawołał zdziwiony Bek, przyglądając się jemu z podziwem. — Nie kładziesz pan zatem wagi na ukrytą aluzją w dzienniku, że młody Harkourt usunął sam brylanty, chcąc niemi zapłacić swe długi w karty?

— Nie mój przyjacielu, ten nie ma tu nic do czynienia. Ma piękną narzeczoną i ojca niezmiernie bogatego; sam odebrał klejnoty, byłaby to zatem gra zbyt niebezpieczna, choćby i posiadał długi, co zresztą nie jest dowiedzione.

— Ale w jakiż sposób byłby Ophir wyjął je z puzderka?

— Nie włożył ich tam wcale.

— Mówiłem przecież panu, że było przy tem trzech świadków: dwóch z jego urzędników i niejaki Mulligan, wykonawca puzderka.

— Czy widziałeś pan tego ostatniego?

— Nie. Nie był jeszcze powrócił do warsztatu gdy poszedłem tamże.

— Nie wróci też już nigdy. Zniknął... a gdzie się ulotnił to chyba Ophir mógłby panu powiedzieć, lecz będzie się strzegł niezawodnie.

— Prócz niego było przecież jeszcze dwóch innych ludzi obecnych przy wysyłaniu brylantów.

— Niestety, mój wielki panie detektywie, jesteś dziś trochę naiwny! Nie przypuszczasz nic złego o panu Ophirze i zdradzasz ten wielki brak inteligencji. Zechciej na chwilę pożyczyć mi twego zegarka... — Mówiąc to pochylił się po przez stół i w najbliższym momencie trzymał już w ręku złoty zegarek policjanta wraz z łańcuszkiem, mimo, że tenże przyczepiony był złotym haczykiem do kamizelki.

Następnie ułożywszy zręcznie pudełko z dziennika, włożył weń zegarek wraz z łańcuszkiem. — Wyobraź pan sobie, że to jest owe puzderko — rzekł teraz zamykając je szczelnie pokrywką zrobioną także z papieru i posuwając przez stół Bekowi. Gdy tenże otworzył pudełko — było próżne.

— A gdzież mój zegarek? — zawołał policjant zdumiony.

— Gdzieżby był jeśli nie tutaj — rzekł pan Grabeau wskazując na kieszonkę od kamizelki Beka. I rzeczywiście zegarek leżał tamże najspokojniej, a łańcuszek zahaczony był jak przedtem o dziurkę od guzika.

— Byłbym przysiągł, że kładłeś pan zegarek w pudełko papierowe.

— A widzi pan, to samo byliby uczynili ludzie pana Ophira. Iż wsunąłem zegarek do pańskiej kieszeni, on zaś brylanty do swojej własnej ta tylko zachodzi różnica. Sztuczka więc jego była o wiele jeszcze prostsza.

— Niemniej uchodzi pan Ophir za człowieka wielce honorowego.

Pan Grabeau zaśmiał się szyderczo. Człowiek ten, znam ja go dobrze, zimny jest jak lód, a chytry jak lis. Spotkaliśmy się raz w życiu i on śmiał nazwać, mnie, Alfonsa Grabeau oszustem, dzisiaj, ja Alfons Grabeau nazwę go złodziejem. Dowiodę tego, że on to skradł brylanty i pomogę panu chętnie zdemaskować go nareszcie.

— Dziękuje panu bardzo, panie Grabeau. Wiedziałem zaraz do kogo się udać: gdzież mógłbym pana spotkać jutro, gdybym miał coś do zakomunikowania?

— Do drugiej godziny pozostanę w moim handelku, o czwartej jak zwykle przybędę tutaj na obiad wieczorem zaś daję przedstawienie w salonach księcia D. Jestem zawsze do usług pana w sprawie Ophira.

— Dobrze więc, przyjdę do mieszkania pańskiego, albo spotkamy się tutaj.

Grabeau wypił resztę swego grogu, wziął kapelusz i laskę i zabierał się do odejścia. Bek powstał także.

— Pozwól pan sobie podziękować raz jeszcze — rzekł, patrząc z podziwem na swego towarzysza. — Ceniłem zawsze bystrość pana, lecz teraz widzę, że posiadasz mądrość niezrównaną i odżałować nie mogę, że nie należysz do nas, wtedy przynajmniej zdolności twoje rozwinąć by się mogły należycie.

Uznanie to pochlebiało wielce panu Grabeau, który po prostu rozpromieniony opuszczał restaurację, tajny policjant tymczasem pozostał tam jeszcze i zjadłszy wystygłą już pieczeń baranią, zadumał się głęboko.

Nazajutrz była już godzina trzecia, gdy Bek spiesznym krokiem zbliżał się do małego handelku pana Grabeau na ulicy X, gdzie zatrzymawszy się chwilkę przed oknem wystawnem, za którem pełno było zabawek mechanicznych i kosztownych cacek, wszedł nakoniec.

Za stołem stał młodzieniec może dwudziestoletni o dużym garbatym nosie i małych świecących oczach.

— Dzień dobry Jakóbie — rzekł Bek — czy pan twój już wyszedł?

— Tak panie, może przed kwadransem.

— A kiedy powróci?

— Prawdopodobnie już nie dzisiaj.

— No, to przyjdę innym razem. Ale powiedz mi Jakóbie, co to za ładny koralowy naszyjnik macie tam w oknie? Czy nie mógłbym obejrzeć go lepiej?

Jakób podał żądany przedmiot. Był to staroświecki naszyjnik koralowy w złoto oprawny i leżał w starem puzderku zielonem niegdyś, na wytartym, białym aksamicie. Bek przyglądał się z wielkiem zajęciem puzderku, obracając je na wszystkie strony, a szczególnej zwracał baczną uwagę na plamę jakąś, znajdującą się na spodzie.

(Ciąg dalszy nastąpi).